

ludziom przez wieki, a jeden z nich – tytułowe tango śmierci – został skomponowany w ich rodzinnym mieście w czasie drugiej wojny światowej. Nuty do niezwykłego tanga, które – usłyszane przed śmiercią – pozwalało przypomnieć sobie w następnym życiu poprzednie żywoty, odnalazł młody ukraiński bibliofil, a wykonywali je żydowski muzycy w obozie janowskim, przygrywając idącym na śmierć rodakom.

• I tu otwiera się wątek historyczny. Oto czterech koledzy, wszyscy – synowie żołnierzy Ukraińskiej Rady Narodowej, poległych pod Bazarem (jednej z największych batalii w wojnie o niepodległość Ukrainy, 1918–1921), przyjaźnią się w międzywojennym, a potem wojennym Lwowie. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby nie fakt, że jeden z nich jest Ukraińcem, wspomnianym bibliofilem, drugi Żydem, trzeci Polakiem, a czwarty Niemcem. Przeżywają oni różne – dziecięce, młodzieńcze, w końcu bardzo dorosłe – przygody, w trakcie których, między innymi, bibliofil namierza w odmetach odrealnionego Ossolineum (kto przeczytał powieść, wie, że to trafna metafora!) magiczne nuty; jego żydowski przyjaciel natomiast wraz innymi wirtuozami skrzypiec komponuje tango, które da szansę ofiarom drugowojennego ludobójstwa odzyskać poprzednie życiorysy w następnych wcieleniach. Jak wątek historyczny łączy się ze współczesnym – nie zdradzę; aby się tego dowiedzieć, warto sięgnąć po książkę.

• Warto, bo powieść Wynnyczuka to dobre literackie rzemiosło. Ma wartką akcję, oparta jest na interesującym pomysłem i umiejętnie wciąga czytelnika w naukowo-artystyczne śledztwo w poszukiwaniu melodii, za którą – jak się okazuje – nawet służby specjalne różnych reżimów są w stanie wiele zapłacić. W dodatku bardziej wymagającemu odbiorcy oferuje ciekawe gry intertekstualne. Niektórzy krytycy czynili wprawdzie Wynnyczukowi zarzuty z tego, że w *Tangu śmierci* garściami czerpał z bardziej lub mniej znanych motywów. Ale nawet jeśli nie robił tego z taką maestrią jak Umberto Eco (ewidentny patron powieści), trudno upatrywać w tym fundamentalnej słabości w dobie postmodernizmu. Tym bardziej, że są to gry uprawiane świadomie, na zasadzie puszczania do czytelnika oka i zapraszania go do lektury na innym, metaliterackim poziomie.

• A więc w czym problem? W tym, że powieść Wynnyczuka – bez względu na wprawę literacką i intertekstualną autora – operuje trudnymi do wybaczenia stereotypami. Pierwszy z nich – patriarchalny – uderza zwłaszcza w wątku współczesnym. Kobiety dzielą się tu na młode, pociągające studentki oddane duszą i ciałem profesorowi Jaroszowi oraz... baby, które – żeby było gorzej – próg babowatości przekraczają wraz z doświadczeniem macierzyństwa. Przy pierwszym przedstawieniu tego typu można podejrzewać autora o groteskę lub kamp, ale przy dziesiątym – nie. Poza tym wątek znajomości Jarosza i Danusi, niebezpiecznie zbliżający się do konwencji harlequina, przesądza sprawę.

• Drugi, bardziej niebezpieczny stereotyp dotyczy wielonarodowego Lwowa w wątku historycznym. Pominę to, że przypisanie czterem bohaterom, reprezentującym różne narodowości, ojców walczących w armii Ukraińskiej Rady Narodowej zaburza ową wielokulturowość na korzyść strony ukraińskiej, czego autor nie problematyzuje. Skoncentruję się na tym, iż taka harmonijnie koegzystująca wspólnota Lwowian, jaką ma symbolizować przyjaźń Ukraińca, Żyda, Polaka i Niemca, po 1918 roku nie istniała. Międzywojenny Lwów był miastem pogranicza o bardzo silnych animozjach narodowościowo-politycznych. Ostre starcia występowały tam znacznie częściej niż próby ich rozwiązania na drodze koncyliacji, a z poziomu życia publicznego nierzadko przenosiły się na poziom relacji sąsiedzkich, przyjacielskich, rodzinnych. Piękna opowieść o wielonarodowym, przebogatym kulturowo, wesołym lwim grodzie to legenda. Jeśli autor podtrzymywałby ją w geście świadomego wyboru przeciwko trudnej historii – jak Józef Wittlin w *Moim Lwowie* – można by to złożyć na karb kreatywności literackiej. Rzecz w tym jednak, że Wynnyczuk wierzy lub chce wierzyć w legendę, i to do tego stopnia, że potrafi przypudrować fakty, które nie tylko wymykają się upiększającym zabiegom, lecz również domagają się nowych form wyrazu ze względu na swoją wyjątkową traumatyczność, choćby pogrom lwowskich Żydów z 1941 roku, w *Tangu śmierci* przedstawiony w konwencji komediowej. W czasie gdy pytania o lwowską tożsamość, przeszłość i pamięć są wciąż ważne, bolesne i wstydlive dla wszystkich czterech stron, Ukraińców, Polaków, Żydów oraz Niemców, powielanie mitów i przełamywanie potworności śmiechem nie przyniesie na nie nowej odpowiedzi. Przynieść ją może krytyczne podejście do własnej narracji narodowej i wzajemne otwarcie się na narracje Innych. Tego jednak w *Tangu śmierci* nie ma. Wróć zatem do początkowej konstatacji: powieść Wynnyczuka jest niezwykle problematyczna, bo dobra i zła zarazem. Sprawia czytelnikowi lekturę przyjemność, ale jest to przyjemność wstydliva, bo płynącą z zanurzenia się w znanych, wygrzanych opowieściach. ◉

*Jak przeżyć kolejny dzień i nie zwariować? – zastanawia się niemal bez przerwy Cheryl Glickman, bardzo niestereotypowa bohaterka Pierwszego bandziora, debiutanckiej powieści **Mirandy July**. Dla ścisłości, Cheryl zastanawia się także, jak nie dać się przytapać na tym, że zwariowała już dawno temu i tylko milimetry dzielą ją od osunięcia się w otchłań całkowitego szaleństwa.*



Miranda July
Pierwszy bandzior
przeł. z ang. Łukasz Bucholski
Warszawa: „Pauza”, 2018
335 s.; 21 cm. – Zł 39,90

Panika kontrolowana

Milena Schefs

Proszę państwa, oto przed nami amerykańska kobieta sukcesu, menedżerka, „prawie członek zarządu” w firmie Open Palm zajmującej się między innymi produkcją filmów DVD z ćwiczeniami opartymi na technikach samoobrony. Cheryl ma czterdzieści trzy lata i jest kłębkim nerwów, ofiarą potężnych obsesji o odcieniu depresyjnym, mistrzynią drobnych natręctw i niepospolitym tchórzem. Nie umie otwarcie przeciwstawić się nikomu i w żadnej sprawie, nie umie komunikować swoich potrzeb, za to całą energię życia wyczerpuje na stwarzanie pozorów normalności. Wszystkie siły wkłada w obserwowanie samej siebie i nieustanne analizowanie tych obserwacji. Uparcie próbuje uchodzić za osobę zrelaksowaną, zdystansowaną, spokojną i pewną siebie. Niestety, trudno o to w sytuacji, gdy człowiek boi się własnego cienia. A Cheryl jest tak lękliwa, że woli uciec z domu i spać w samochodzie albo jeździć w kółko, niż powiedzieć bezdomnemu ogrodnikowi, przychodzącemu w każdy czwartek rano, że nie życzy sobie jego obecności na swoim terenie. Przychodzi jednak chwila, gdy musi w końcu skonfrontować się z własnymi obsesjami i odkryć, czego naprawdę chce. Katalizatorem tej zmiany jest nagłe pojawienie się w jej domu Clee, córki przyjaciół i współpracowników Cheryl. Clee jest jak słoń w składzie porcelany, jak czółg na wytworonym przyjęciu, jak... pierwszy bandzior. Nie da się jej zignorować.

Clee jest młoda, atrakcyjna, porażająco leniwa oraz tępa. Z niewiadomych przyczyn decyduje się zamieszkać u Cheryl, która oczywiście nie umie jej odmówić. Zagarnia dla siebie niemal cały dom: jedyne miejsce, w którym Cheryl czuła się bezpiecznie. Wprowadza tam własne porządki, całkowicie niwelując osobliwy system utrzymywania czystości i ładu – co dla nękanego zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi właścicielki jest nie do zaakceptowania – a ponadto roztraca nieprzyjemny zapach. Jednak to właśnie ona pomoże pannie Glickman obudzić głęboko uspięte potrzeby i instynkty. To ona sprawi, że Cheryl nareszcie będzie gotowa do miłości i walki; nawet do walki wręcz. To ona wreszcie – raczej niechcący, próbując pozbyć się problemu – ofiaruje swojej gospodyni najcenniejszy prezent-niespodziankę.

Powieść Mirandy July czyta się z prawdziwą przyjemnością. Być może dlatego, że Cheryl – bo to właśnie ona jest narratorką tej historii – bardzo dowcipnie i z dużym dystansem opowiada o swoim życiu. Jako wnikliwa samoobserwatorka doskonale zdaje sobie sprawę z własnej śmieszności, z irracjonalności swoich działań, z tego, że żyje bardziej w swoich projekcjach niż w rzeczywistości. Panna Glickman wymyśla setki scenariuszy na każdy dzień życia i natychmiast je odrzuca – z mniej lub bardziej zrozumiałych powodów. Czuje się przy tym tak, jakby grała w nieustającym spektaklu. Przymierza się do różnych ról i próbuje wyobrazić sobie reakcje innych. Niczym bohaterka powieści *Próba* Eleanor Catton żyje w świecie nieautentycznym, w którym nawet najsilniejsze emocje nie znaczą tego, co powinny znaczyć. W życiu Cheryl dominuje strach, który sprowadza do absurdu jej codzienność. Ale już inne uczucia – gniew, miłość, pożądanie, złość, tęsknota – są rozmyte i znajdują ujście w bardzo niejasnych relacjach: z podstarzałym członkiem zarządu Open Palm, Phillipem, albo z przypadkowo spotykanymi na ulicy dziećmi, w których panna Glickman widzi wciąż to samo dziecko: Kubelka Bondy’ego (tak, nawet ona rozumie, że to nie może być prawdziwe imię – ale takie imię wyłania się z jej pamięci, gdy myśli o małym chłopcu, którym musiała się przez chwilę zająć jako dziewięcioletka). Dopiero pokrecona, nietrwała, niemal wroga, ale bardzo namacalna relacja z Clee ściągnie ją na ziemię i przywróci rzeczom właściwe wymiary. Można by rzec: zakotwiczy dryfującą w wirach rzecznych Cheryl w jednym miejscu i zaoferuje jej spokój. To terapia, za którą bohaterowie filmów Woody’ego Allena zapłaciłby krocie.

Książka Mirandy July, wielowymiarowej artystki, performerki, reżyserki i scenarzystki, szerszej publiczności znanej dotąd głównie z filmów, takich jak *Ty, ja i wszyscy*, których

znamy (nagroda na Sundance Film Festival i Złota Kamera w Cannes), jest pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji, napisana fantastycznym językiem. Jej narratorka mimo wszelkich deficytów jest piekielnie inteligentna i bardzo złośliwa (zwłaszcza wobec samej siebie), a ponadto ma swój wewnętrzny radar ustawiony na wyszukiwanie groteskowych sytuacji. Jej osobiste rytuały są może dziwaczne, ale czy naprawdę bardziej dziwaczne niż rytuały innych ludzi? W kim ostatecznie znaleźć można więcej empatii i miłości – w Cheryl czy w dramatycznie płytkich rodzicach Clee? Kto ma w sobie mniej egoizmu i więcej odwagi – Cheryl czy wiecznie uzalający się nad sobą Phillip? Kto bardziej potrzebuje wsparcia i terapii – Cheryl czy nieszczęśliwie zakochana doktor Ruth-Anne? Kto wreszcie budzi większą sympatię – Cheryl czy Clee?

Wszystkie postaci w *Pierwszym bandziorze* są oczywiście nieco przerysowane, ale bez trudu można w nich odnaleźć cechy ludzi żyjących wokół nas. Nie da się ukryć, Miranda July jest wytrawną, niezwykle wnikliwą obserwatorką swoich bliźnich, a jej ostre pióro chłocznie wybujało ego każdego czytelnika, który ma w sobie choć minimum samokrytycyzmu. Drobne i większe grzeszki, natręctwa, nawyki, irytujące bądź nieszkodliwe przywary i obsesje, nietrafione wyobrażenia na własny temat – wszyscy możemy przejrzeć się w tym lustrze.

Pierwszy bandzior stawia też pytania o ryzyko, jakie niesie ze sobą życie. Czy warto bić się codziennie w obronie własnego wizerunku, jeśli za rogiem czeka na nas prawdziwe wyzwanie? Co może wyzwolić człowieka zapętłonego w rutynowych działaniach, skupionego na balansowaniu na granicy szaleństwa? Jak dalece trzeba pokochać kogoś innego, żeby zapomnieć o sobie samym? Cheryl powoli odnajduje w sobie odpowiedzi na te pytania – i choć nic w tej historii nie jest standardowe, może pomóc nam ona w walce z własnymi demonami. ●